

Nazywam się Cezary Spisacki. Urodziłem się 17 stycznia 1911 r. we wsi Wólka Markowiecka, pow. Horochów, gm. Chorów na Wołyniu. Wólka Markowiecka była niedużą wsią, czysto polską. Była tu droga krzyżowa, za którą bliżej miejscowości Szelwowa była Wólka Szelwowska. Wólka Markowiecka składała się z rodzin polskich, leżała między górami. Należała do parafii Łokacze, oddalona od nich o 6 km. Była to bardzo bogata wieś, bo ziemia była żyzna, czarnoziem. Ludzie byli zamożni. Tam się urodziłem, a później przeniosłem się na teren Wólki Szelwowskiej, na kolonię i tam mieszkałem aż do pójścia do wojska w 1933 r.

W wojsku służyłem w 27 dywizji, w 27 pułku artylerii we Włodzimierzu, gdzie skończyłem szkołę podoficerską ze stopniem kaprała, 23 lutego 1934 r. W sierpniu 1934 r. wróci^{em} z powrotem do domu. Zostałem wcześniej (o trzy miesiące) zwolniony, bo miałem przysposobienie wojskowe. Od 16 roku życia należałem do Związku Strzeleckiego.

Przeszedłem kurs instruktorski piechoty, gdyż byłem artylerzystą. I stopień ukończyłem w Łucku, a II stopień w Wólce Profeckiej koło Puław w 1935 r. Było to zorganizowane w lesie, pod namiotami. Po ukończeniu kursu zostałem mianowany przez dowódcę PW w Horochowie instruktorem w Wólce Markowieckiej, którym byłem tam przez dwa lata.

Po powrocie z wojska przez rok czasu byłem jeszcze w domu. Pomagałem w gospodarstwie, a potem poszedłem do Łokacz, do pracy na poczcie. To było 1 lutego 1936 r. Pracowałem tam do 15 maja 1939 r. Jednocześnie prowadziłem ćwiczenia z przysposobienia wojskowego przy Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży oraz dalej w Wólce Markowieckiej. Musiałem dzielić swe obowiązki tu i tam. Było to zbyt trudne więc w końcu zostałem w Łokaczach. W Wólce instruktorem został plutonowy Tokarski.

W maju 1939 r. Dyrekcja Okręgu Poczty w Lublinie zaproponowała mi zmianę pracy i miejscowości. To był Zdołbunów, 12 km za Równem. Tam więcej zarabiałem. Cała łączność z organizacją moją została przerwana. Bo to było 100 km od Łokacz. Wtedy zostałem przydzielony do 13 pułku artylerii lekkiej do Równego. Trzy miesiące tylko pracowałem w Zdołbunowie. *2-cy pułku był pułk dypl. Kalinich a szefem baterii st. sier. Gustusiah*

Pewnej niedzieli, kiedy położyłem się spać, zapukał do mojego okna posłaniec i zawiadomił mnie, że mam się zjawić w 13 pułku artylerii. To było 13 sierpnia 1939 r., a 5 sierpnia brałem ślub. Napisałem tylko kartkę do żony, z której dowiedziała się, gdzie ja jestem. Byliśmy ze cztery dni w Równem. Byliśmy bardzo znienawidzeni przez Ukraińców. Jak nasz oddział szedł, to słyszeliśmy różne podgadywania, na które nikt nie zwracał specjalnej uwagi.

Wyprowadzono nas na plac ćwiczeń, na której odbyła się przysięga. Przysięgali Polacy, Ukraińcy. Pop odbierał przysięgę. Od Żydów rabin. Każda narodowość miała swojego kapłana, który odbierał przysięgę. Po przysiędze jeszcze przez dwa dni byliśmy w Równem i gdzieś 15 sierpnia załadowano nas na pociąg. Pojechaliśmy do Fordonu, za Bygdoszcz. Ja, jako dowódca działu (14 ludzi i ja piętnasty) wyjechałem na front. Na miejscu rozładowaliśmy armaty. Kwaterowaliśmy w majątkach niemieckich, gdzie Niemcy przychodzili i pocieszali nas, że w ciągu dwóch tygodni my zwalczymy Niemców i będziemy w Berlinie. Podpuszczali nas.

Na froncie prowadziłem walki na czele swojego działu, miałem jakieś 10, 15 zaprzęgów z amunicją. Podoficerów już nie było. Wszystko zostało rozbite i ja sam to prowadziłem. I tak dojechaliśmy pod Tomaszów Mazowiecki. Tam okopaliśmy się z armatami i czekaliśmy na rozkaz strzelania. Takiego rozkazu nie było, ponieważ piechota, która prowadziła walki pod Tomaszowem zaczęła się cofać.

Wtedy nadleciały samoloty. Konie i ludzi wybili. Mój koń odciągnął z szosy cały zaprzęg w lasek. Dlatego mogłem dalej pojechać tym koniem ze swoimi ludźmi. Było wśród nich dwóch Ukraińców, jezdnych, żołnierzy polskich, o których nie mogę źle powiedzieć. Byli dobrymi żołnierzami.

Wybraliśmy kierunek na Warszawę. O godzinie 6-tej rano dojechaliśmy do Falenicy. Było tam jeszcze duże zgromadzenie wojsk, nie tylko z Armii Łódź. Doszły do nas i inne oddziały. Była artyleria konna. W sumie razem mieliśmy 28 armat polówek, sporo karabinów maszynowych. To było około 16 września. Okopaliśmy się. Walka trwała od 6-tej rano do wpół do dwunastej w nocy. Potem przyszedł rozkaz, że musimy się wycofywać w kierunku na Warszawę, pozostawiając sprzęt, konie. Kazali nam rozkręcić zamki u armat, zakopać amunicję i z bagnietem na karabinie przedzierać się do stolicy.

Byłem w grupie, która z dowódcą liczyła 13 osób. Dowódcą był rotmistrz kawalerii. Doszliśmy do tyralery niemieckiej, która spała. Kiedy wyszliśmy z wąwozu Niemcy zaczęli strzelać z karabinów maszynowych świetlnymi kulami. Kule tak świeciły, że widno się od nich zrobiło. Dużo naszych żołnierzy nabili. Przedarłem się przez druty kolczaste i skoczyłem przez taki wał. Potem poderwali się i natrafiliśmy na drugą linię nieprzyjaciela. Oczekaliśmy chwilę i poleciliśmy dalej. Trzecia linia była rzucona w dole. Była dosyć ciepła noc, Niemcy spali. Tylko z boku jeden z nich krzyknął:

- Halt! Wer das?

Nie odpowiedzieliśmy tylko skoczyliśmy w kartofle. Wtedy poszła po nas seria. Ale tylko jeden dostał w kolano. Został na miejscu. Nakryliśmy go płaszczami. Miał mapę i kompas. Zorientował nas na Warszawę. Dotarliśmy do Wisły, a przez nią Łodzią

dopłynęliśmy na drugi brzeg. Zakwaterowano nas w ujeżdżalni konnej. Było tam dużo trocin. Kiedy ułożyłem się w trocinach coś mnie ruszyło, abym wstał i odszedł stamtąd. I to tak ze dwa razy. Była tam kuchnia, gdzie gotowali koninę i wyrzucali kości. Żołnierze ogryzali taką kość. Ja również wziąłem taką kość. Byłem bardzo głodny. Żołnierze zaczęli burczeć.

- Nam będzie za mało tego. A ty jeszcze chcesz dołączyć do nas.

I w tym czasie z "Berty", armaty ciężkiego kalibru, w sam środek ujeżdżalni trafił pocisk. Wyrwał wielki lej. Zginęło tam wielu moich kolegów, tych, którzy uciekali razem ze mną. To było moje pierwsze ocalenie.

Stamtąd przeniesiono nas na ul. Rozbrat, do gimnazjum żeńskiego. Nocowaliśmy tam na ławkach. Czekaliśmy, aż nas skierują na pierwszą linię. Wtedy to, kiedy z kolegą leżeliśmy na ławce, (dwie ławki do kupy zsunięte) znowu coś mi podpowiedziało, abym zrywał się z tej ławki i prędko stąd uciekał. Ale to tak, aż mnie szarpnęło. Wstałem i uciekłem na korytarz. W tym czasie znowu z "Berty" w te ławki trafiło, poszło na parter, zabiło lekarza, dwóch sanitariuszy. Dużo ludzi narażono w suterynie. Tam, gdzie byłem ze swoim kolegą tylko lej został.

W Warszawie byłem przez cały okres jako siła zapasowa. Na Powązkach stała nasza artyleria. Jak zabito kogoś z obsługi to uzupełniano z naszych oddziałów zapasowych. 25 września o godzinie 8-ej dostałem rozkaz maszerować z żołnierzami w kierunku Powązek i tam objąć dowództwo nad armatą. To było wieczorem. Szliśmy całą noc ulicą Miodową, która była trupami usłana. Kiedy dotarliśmy tam nad ranem, oficer, który dowodził obsługą, kazał wracać z powrotem, bo Starzyński poddaje Warszawę.

Wróciłem z powrotem na ul. Rozbrat. Z gimnazjum przesiedlono nas do Łazienek, gdzie czekaliśmy na Niemców. Gdzieś około

28 września przyszedł rozkaz maszerować do głównej ulicy, gdzie było zgrupowanie naszych żołnierzy. Tam zabrano nam pasy, kto był w butach sznurowanych, sznurówki. Ustawiali po ośmiu i wymarsz w kierunku Góry Kalwarii, stamtąd do Grójca, a z Grójca do Radomia, następnie do Puław. Pędzono nas (17 tysięcy jeńców) na piechotę. Dużo żołnierzy nie dało rady iść. Zostali w rowach, gdzie Niemcy ich dobijali pomimo, że był układ podpisany przez gen. VIII Armii niemieckiej ze Starzyńskim, że wszyscy żołnierze mają wolno wrócić do domu. Niemcy nie dotrzymali słowa. Dużo naszych wywieźli do stalagu. Niektórzy uciekli podobnie jak i ja.

W Puławach stacjonowaliśmy w koszarach. Stamtąd uciekłem. Poszedłem niby coś kupić od kobiety, która sprzedawała jakieś gruszki. Doszedłem do niej, a kiedy zobaczyłem, że Niemiec odwrócił głowę, powoli zacząłem uciekać.

W październiku doszedłem do granicy na Bugu. Przy rzece stał ^{niemiecki} żołnierz i Niemiec, który był kolonistą. ^{Ten} Mówi do mnie: - Guziki z orłami? To trzeba poobcinać! Dostyc patrzyłem na te wasze ptaki.

Poobcinał mi guziki i puścili mnie wolno. Było zimno, bo był już październik. Po drugiej stronie rzeki zobaczyłem patrol bolszewicki. Zaczęłam przez rzekę krzyczeć do nich: - Tawariszczi! Ja chcuzu k wam! Ja tam rodinu imieju! - Nielzia! - Kagda budiet można pieriejti? - Nikagda!

Poszedłem dalej. Znowu drugi patrol. Przystanąłem i zacząłem prosić, żeby mnie puścili. Kiedy powiedzieli, że nie, to my samowolnie przedostaliśmy się na drugą stronę. Wtedy z lasu wypadli żołnierze z Armii Radzieckiej i nas aresztowali. Było nas dwudziestu. Wszystkich nas zabrali do miejscowości Uściług,

gdzie byłem do 12-tej w nocy. Ponieważ więzienie^v było pełne, zamieszano nas do starostwa we Włodzimierzu. Po trzech dniach przyszedł ukaz Stalina, że "wsiech oswobodit' mieźdu lud'mi nie-tu szpionow" (mie ma szpiegów). Wtedy poszedłem na piechotę do miasteczka Łokacze (30 km od Włodzimierza Wołyńskiego). Żydzi dali znać mojej żonie, że wraca pan Spisacki z wojny. Znali mnie, bo pracowałem tam przed wojną. Byłem listonoszem.

Kiedy wróciłem do domu Armia Radziecka jeszcze nie urzędowała. Cywile jeszcze nie przyjechali i nie objęli stanowisk. Tylko wszystko zajęli Ukraińcy i Żydzi. Żydzi byli na usługach ruskich, szykowali się na donoszenie. Między innymi zdążyli i o mnie powiedzieć, że byłem instruktorem Obrony Narodowej i Strzelca.

Po trzech dniach mojego pobytu w domu przyszedł żandarm z karabinem i mówi:

- Was wzywa komendant. Chodźcie ze mną.

Zaprowadził mnie do Rejspołkomu (to było coś w rodzaju województwa). Za stołem patrzę, siedzi żołnierz, mój rekrut w artylerii. On był z Chorowa. Znaliśmy się. W wojsku szczególnie nim się opiekowałem. Był to troszkę inteligent ukraiński. Nazywał się Świącicki. Był pisarzem gminnym. Do wojska dostał się do 27 pułku i był w moim działaniu.

- Pan Spisacki? Ja do pana Spisackiego nic nie mam. Ale może komendant ma coś do was. Proszę zaprowadzić do komendanta.

Zaprowadził mnie do komendanta, a ten:

- Gde ty wojował? W Obronie byłeś na froncie?

A ja na to, że byłem w artylerii.

- Jaki masz dowód? - pokazałem mu medal śmierci. Na nim było wypisane: "kapral Spisacki z takiej miejscowości". Łamało się go na połowę, z której jedną dawało się zabitemu do ust, a drugą

wysłało się rodzinie. Na tej podstawie mnie zwolnił i puścił do domu.

Przez pół roku chodziłem i szukałem pracy. Na gospodarce nie wróciłem, bo zajął ją cała mój szwagier. Na poczcie na razie nie było dla mnie miejsca. Kiedy wkroczyli Rosjanie, Ukraińcy pobudowali im bramy triumfalne i powiedzieli, że oni 22 lata czekali na tą armię. Rosjanie objęli stanowiska. Wśród nich dużo było tych bolszewików, którzy brali udział w wojnie z 1920 r. Czuli oni wielką nienawiść do każdego wojskowego. Pamiętam - to było wtedy kiedy już pracowałem - że przyszedłem do ich komórki partyjnej z gazetami i listami. Przy mapie stało kilku bolszewików. A jeden ze starszych mówi:

- Wot zdies' my Paliakow pobili. Zdies' z nich krow rieknoj liałas'. Dwa metra wysoko trupow było.

A ja myślę sobie, było nie było, podchodzę do mapy i pokazuję na Warszawę:

- A zdies' tawariszczi?

- Uszywajs', kto tiebia sprasziwajet !

Kiedy przyszli bolszewicy, poszedłem do naczelnika poczty i zapytałem czy przyjąłby mnie do pracy na poczcie, a on mówi:

- Czitat', pisat' umiejesz? - ja mówię, że nie umieju.

- No to kak ty budiesz rabotat'?

Przez noc nauczyłem się troszkę czytać i pisać, a znajomy Ukrainiec napisał mi podanie i życiorys. Ja ciągnąłem za nim, tak jak on, napisałem, i przyniosłem do naczelnika i daję.

- No ty mówił, że ty nie umiesz pisać. Ty u nas naczelnikiem możesz być !

Ponieważ mój kolega Ochman, ten dowódca "Kozak", razem ze mną pracował na poczcie, jako księgowy, to tak razem doczekaliśmy 1-go maja. Zebraliśmy się wszyscy na poczcie. Naczelnik był

ze smoleńskiej obłasti. Bardzo porządny. Mówi do mnie:

- Słysz, Spisacki. Ty znasz tych Jewrejów, którzy kiedyś mieli wódkę, może ją mają. Postaraj się ze dwa litry. Uczcimy to święto 1-go maja.

Poszedłem i przyniosłem tę wódkę. Naczelnikowi dolaliśmy porządnie. Razem z nim był jeden enkawudzista, który był opiekunem nad pocztą. Napoiliśmy go porządnie. Jak już popiliśmy, to naczelnik powiedział:

- Wot u nas to jest taki zwyczaj. Pośpiewajmy trochę.

Zaczęli śpiewać to i tamto. Kiedy już byli porządnie pijani, wtedy my zaczęliśmy:

- "Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy"

A naczelnik pijany wstał i nie wiedząc o co chodzi tak mówi:

- Ochman ty powyżej, powyżej, a ty Spisacki poniżej, poniżej.

Za jakieś 20 minut telefon od naczelnika NKWD. Naczelnik NKWD był jak kot. Chodził takim kocim krokiem. Nigdy nie pił. Nazywał się Chaczaturian, był Gruzinem.

- Daj Malinina do telefona!

Ja powiedziałem, że go nie ma. Sam wpadłem do Ochmana i mówię

- Jasiu, prędko bierz naczelnika i uciekajcie przez ogrody.

Oni tylko wyskoczyli, wyprowadzili za domy, a ten wpada.

- A wy szto zdies' diekali?

- A my razwie nie rabotniki. Wam prazdnik i nam prazdnik.

My toże rabotniki.

- No chwatit etoj raboty. Damoj!

Wypędził nas z tej poczty. Poszliśmy do siebie. Tak skończyło się dla nas święto 1-go maja. Uczciliśmy go po polsku.

Na poczcie pracowałem pół roku. Potem ktoś doniósł, że byłem instruktorem Obrony Narodowej. I tu zaczęła się moja траге-

dia. Co drugi dzień byłem wzywany do NKWD. Za stołem siedziało ich trzech. Jeden sądził, a dwóch było oskarżycielami. Na stole leżały nabite pistolety. Pytali:

- Gawari! Gdzie twoi ludzi, katorych ty obuczal? Gdzie oruzi?

Mówiłem, że ja nie byłem z Obroną Narodową na froncie, tylko, że byłem w artylerii. To tłumaczenie nie pomagało. Po dwóch, trzech dniach byłem wzywany z powrotem. I tak przez cały rok. Na szczęście był na parafii ksiądz Spisacki, mój kuzyn w trzecim pokoleniu (to znaczy jego i mój ojciec byli stryjecznymi braćmi). Ja mu powiedziałem o wszystkim. On mówi do mnie:

- Powtarzaj to samo aż do znudzenia. Mnie męczyli do 1925 r.

Kiedy byłem na parafii koło Żytomierza, to doniesiono mi, że wyrok wydali i skazali mnie na śmierć. Musiałem uciekać co też zrobiłem. Uciekłem w kołchoźnym, porwanym ubraniu, przez granicę na stronę polską. Udało mi się i tobie się uda.

Kiedy ostatni raz mnie wezwano, przyjechał prokurator z Łucka (z województwa) i dwóch oskarżycieli. Jeden^{z nich} do mnie mówi:

- Dziś twoje ostatnie zeznanie. Bieri! Kartoczku piszi. Poproszczaj swaju żenu, bo ty jej bolsze nie uwidisz.

Wtedy ja wpadłem w szal i zacząłem bić rękami o stół i mówię:

- Bijcie, tylko paskariej! Wy nie przisli zdies 'wyzwalit' biednyj narod, tolko unicztozat' takich biedakow kak ja. Ja pieried wajnoj zarabatywał sorok wosiem' zołotych. Tak cztitajtie, szto ja kułak?

- Potiszi, ljudi posłyszat ! Zaprowadzimy cię do piwnicy. Tam mamy takie uszczelnione drzwi. Mamy pistolet z tłumikiem. Zastrzelimy ciebie. Wykopie się jamkę, zakopie się, zieloną trawą, taką darniną przykryjemy, przydepczemy. Ciebie już na świecie nie ma.

Ale po dwóch godzinach męczarni puścili mnie z powrotem do

domu. W domu moja rodzina modliła się, bo tak długo jeszcze mnie nigdy nie trzymali. Kiedy przyszedłem, byłem tak strasznie przemęczony, że nie wiedziałem co ze sobą począć. Trzeba było dalej pracować.

Wywózka na Syberię nastąpiła w zimie, gdzieś w styczniu. Był wielki mróz do 25 stopni. Wywozili wszystkich, a nie, jak to mówili, osadników wojskowych. Wywieźli Kazimierza Tybolewicza z rodziną, Antoniego Radeckiego też z całą rodziną. Wywieźli tych z bogatych wiosek, kto miał więcej hektarów. Wszystko trwało 20 minut. Przychodzili, odczytali wyrok, "sobirajs^{możli}". Co zdążyli wrzucić na wozy, żeby dowieść do dworca i załadować na wagony. Kto był przezorny to złapał trochę mąki.

Był wypadek w miejscowości Wojnica. Matka trzymała na rękę małe dziecko. Zdrzemnęła się i dziecko zamarzło na śmierć w wagonie. Poprosiła, żeby strażnik otworzył drzwi. Wyrzuciła dziecko do rowu przy torze, bo co miała robić. Wtedy enkawudzista nie wytrzymał. Rzucił czapkę o ziemię i krzyknął:

- Czort wazmi z takim prawitielstwem, kotoryj ubiwajet takich małych riebionok.

Na Syberię wywieziono także Krajewskiego Ludwika, ciotecznego brata mojej żony. Przed wojną wyjechał do Ameryki. Ciężko tam pracował. Po powrocie kupił od dziedzica w miejscowości Buniawa koło Łokacz 60 mórg ziemi. Było to zaraz po I wojnie. Przebrał się za dziada i na plecach niósł bosy te pieniądze do banku we Włodzimierzu, żeby zdać je na konto tego dziedzica. Na drugi dzień za te pieniądze już nie wiem czy paczkę zapałek kupił. A on kupił 60 mórg ziemi i był kułakiem. Wywieźli go za to na Syberię. Chodził na roboty do lasu w Archangielskiej obłasti.

Był taki wypadek. Dostawali po kawałeczku chleba. Ten chleb Krajewski odkładał sobie na potem, żeby zjeść. A maleńki wnuczek

swój chleb zjadł i mówi tak:

- Tam jeszcze dziadzia chleb leży na górze, ale nie można go zjeść, bo dziadzio pracuje.

Zaczął płakać. Krajewski wziął ten kawałek chleba i oddał dziecku, które w kąteczku siadło i zjadło. W lecie żywili się czarnymi grzybami i kto mógł chodził na ryby. Brat żony powrócił do Polski w 1947 48 roku, ale z Libanu. Jak gen. Anders zabierał Polaków, to on skorzystał z tego i pojechał z armią do Libanu. Po powrocie do kraju osiedlił się koło Gniezna w miejscowości Małachowo Kępy. Tam dostał trochę ziemi. Jeździliśmy do niego. Namawiał mnie, abym wziął po nim gospodarkę, ale ja pracowałem na poczcie. Byłem kierownikiem.

Pracowałem na poczcie aż przyszli Niemcy i przepędzili bolszewików. Objęli dowództwo nad pocztą. Wyrzucono mnie z pracy ponieważ byłem Polakiem i podoficerem. Zrobili to Ukraińcy. Wziąłem więc od kolegi w komis trochę farby, sacharyny i poszedłem na wieś handlować, żeby coś zarobić. Na utrzymaniu miałem cztery osoby. Pamiętam takie zdarzenie. Było to w miejscowości Granatów. To była zima, śnieg po kolana, bo tam na Wołyniu to zimy są ostrzejsze jak na Lubelszczyźnie. Wychodzę z jednego mieszkania ukraińskiego, patrzę, stoi żandarm ukraiński, a z nim jeszcze jeden Ukrainiec. Wołają mnie. Bałem się, że mi towar zabiorą. A nie miałem czym zapłacić. Przeskoczyłem przez płot, Niedaleko był las. Zacząłem uciekać. Kiedy wystrzelił do mnie dwa razy, a kule poleciały obok mnie, wiedziałem, że trzecia będzie we mnie. Podniosłem ręce w górę. Przyszli i zabrali wszystko to co miałem. Posadzili na ciętych pniach drzewa i wieźli do Niemca na rozstrzelanie. Za taki handel Niemcy rozstrzelali. Na drodze jeden z policjantów, troszeczkę lepszy, mówi:

- Nie bój się, jakoś to będzie.

Kiedy przyjechaliśmy do Łokacz, kazali mi usiąść w kącie, a sami poszli do naczelnika Ukraińca. Wyszedł jego zastępca. Przed wojną był szewcem i robił mi do munduru buty, oficerki. Zobaczył mnie i po polsku mówi:

- Panie Spisacki, a pan co tu robi?
- Aresztowano mnie. Chciałem troszeczkę zarobić, dorobić, a mnie przywieźli tu jak przestępcę.
- Bo uciekał - powiedział policjant.

Zastępca poszedł do komendanta, który był strasznym bandytą takim, który pozabijał dużo Polaków. Przyszedł i pyta się:

- Gde toj spekulant?
- O tam sydyt.
- Oddajcie mu wszystko i do domu.

Zabrałem pieniądze, słoninę, którą nahandlowałem i inne rzeczy i poszedłem do domu. Znowu szczęśliwie się udało z tymi Ukraińcami.

Później dostałem wezwanie do kopania torfu na łąkach. Było to bardzo trudne dla mnie, bo nigdy nie pracowałem tak ciężko fizycznie. W urzędzie niemieckim pracował znajomy Polak i mianował mnie zastępcą technika. Wtedy nie pracowałem, tylko rządziłem tam na kopaniu, chociaż nie znałem się na tym specjalnie. Stamtąd aresztowano nas wszystkich i zabrano do Granatowa, do szkoły, gdzie była komisja. Była to komisja, która decydowała o tym kogo aresztować, a kogo wywieźć na roboty, bądź zostawić na miejscu.

Kiedy wszedłem tam, gdzie siedział Niemiec i Ukraińiec Kowalczuk, znajomy mojego ojca, który przed wojną był wójtem, ten uderzył ^{Niemca} ✓ nogą w but, żeby mnie aresztować. Tak też się stało. Zaprowadzili mnie do szkoły, którą obstawili dookoła. Kiedy tam się znalazłem, poprosiłem, żeby wyprowadzono mnie do wc. Kiedy mnie prowadzono, wyszedł ten Kowalczuk odepchnął Ukraińców i mówi:

- Chcę z panem porozmawiać, panie Spisacki. Na Pana wydano wyrok śmierci. Jutro ten wyrok miał być wykonany. Jeżeli zrobiłem to, że pana aresztowano w tej chwili, to tylko dla pańskiego dobra. Jeszcze pan za mnie się kiedyś pomodli.

Taka była między nami rozmowa, bo znaliśmy się. Mój ojciec miał razem z nim przez miedzę ziemię. On znał mnie od małego dziecka. On uratował mi życie. Wtedy wzięli nas na furmanki po trzech. Jeden z żandarmów z karabinem i bagnetem na wozie i wieźli nas do miejscowości Stojanów koło Horochowa. Na stacji zostaliśmy załadowani do wagonów. Wagon zamknięty. Znowu jeden Ukraińiec z karabinem.

Pojechaliśmy do samego Berlina. Tam czekaliśmy w zbiorczym lagrze przez dwa dni. Po dwóch dniach przyszedł kupić nas ktoś z fabryki i zabrał nas, niewolników, do Berlina-Tegla przy ul. Krompuler Vege. Tam byłem przez trzy lata od 1942-1945 do wyzwolenia. Jak weszli bolszewicy to nasz obóz znalazł się w Berlinie Zachodnim. Później zabrali to z powrotem Anglicy i Amerykanie. Ja, nie czekając na Amerykanów, w czasie walki ze znajomymi ruszyłem w kierunku Polski.

Kiedy wróciłem do domu z niewoli, dowiedziałem się, że moich kolegów Ukraińcy okrutnie pomordowali. Poodcinano im nosy, wyjęto oczy i język, poodcinano nogi i ręce i pozostawiono ich na słońcu do konania. Jeden z nich nazywał się Wolski, a drugi plutonowy Pejta, który był takim samym instruktorem przed wojną, jak i ja. Gdyby ten Ukraińiec Kowalczyk nie kazał mnie aresztować i wywieźć na roboty do Niemiec, taka śmierć miała spotkać również i mnie. Mój siostrzeniec, Moskałski Oktawian, pasł krowy i zobaczył zbiorowisko much. Przyszedł i zaczął rozgrzebywać liście, którymi byli przykryci. Zobaczył pomordowanych.

Przed wojną prawie nie było różnicy między Polakami, a Ukraińcami. Polacy żenili się z Ukrainkami, Ukrainki wychodziły za mąż za Polaków. Ukraińcy byli wójtami, sołtysami w mojej miejscowości. Tak było do czasu podburzenia ich przez bolszewików i Niemców. To nastawienie przeciwko Polakom miało być podstawą do zabrania Wołynia. Miało to usprawiedliwić bolszewików, że zabrali Wołyń, lwowskie, bo większością byli tu Ukraińcy, którzy prosili ich o to, żeby ci weszli.

W lesie swinarzyńskim był taki wypadek, którego bohaterem był między innymi mój bliski przyjaciel i sąsiad, plutonowy z wojska, Jan Tokarski. Kiedy odszedłem z Łokacz do Zdołbunowa objął po mnie instruktorstwo na Wólce Markowieckiej i był nim aż do wojny. Później zorganizował wszystkich swoich strzelców przeciwko Ukraińcom. Dowódcą oddziału był, jak mi wiadomo, Janek Ochman, ps. "Kozak". Działalność konspiracyjna była dorywcza, a nie stała. Zorganizowani byli w oddział, kiedy nocami robili jakieś wypadki na oddziały UPA. W dzień pracowali w tartaku. Przysięgę składali wszyscy razem w miejscowości Zaturce, w kościele. Ksiądz odbierał przysięgę. Nawet było takie zdarzenie, że Sławek Dębski zażądał od księdza też przysięgi, a kiedy przyszło do akcji, to ksiądz mu przypomniał: "żądał pan ode mnie przysięgi kiedy ja już do oddziału należałem". Tym księdzem był proboszcz ^{Rednicki} Wretnicki. Z Wólki Markowieckiej do Ochmana należało kilku z Obrony Narodowej. W czasie późniejszych działań był to Tomaszewski Longin (żołnierz) i Jankowski Adam.

Wracając do zdarzenia w swinarzyńskim lesie, było tak. Ukraińcy wieźli żywność dla armii UPA. W lesie byli ^{Styczyński} w lesie plutonowy Jan Tokarski, kapral ^{Boonidzi} Starzyński. Kiedy dojechał do nich konwój z tą żywnością, Tokarski krzyknął po niemiecku:

- Hande hoch!

Parę razy strzelili do góry. Ukraińcy zerwali się z wozu i pouciekali do lasu, a cały transport został zabrany. Część z tego była dla 27 dywizji AK, która już się wtedy organizowała. W czasie akcji zginął Tomaszewski. Był ciężko ranny. Nie mogli udzielić mu pomocy. Gdzieś w lesie dostał w brzuch i tam zakończył życie.

Kiedy Niemcy odstąpili, a Armia Radziecka jeszcze nie zajęła Wołynia, to był bardzo niebezpieczny moment. Ukraińcy znowu zaczęli zabijać rannych, palili wsie, wszystko niszczyli. Moja żona z teściową były w Łokaczach. Obok nich mieszkał Władysław Jankowski z rodziną. W czasie pogromów Żydów nazbierał sobie duży majątek. Namawiał moją żonę:

- Zostańcie! Ja mam zagwarantowane, że nas nie zabiją. I postaram się, aby także was nie zabili.

Ale moja żona nie posłuchała, poszła do kościoła, gdzie organizowali się wszyscy. Kiedy uszli zaledwie 3 kilometry, Łokacze paliły się, a tę rodzinę Jankowskich Ukraińcy porzucali do studni i pniami przywalili. To samo spotkałoby moją żonę i teściową.

Moja żona skorzystała z tego kiedy Niemcy uciekali i poszła z teściową (90 lat) na piechotę za nimi. A było to na Gromniczną. Błoto po kolana. Teściowa buty pogubiła w błocie. Jakoś szczęśliwie doszły do szosy, a tam znajomy lekarz zatrzymał wóz niemiecki, który żonę z teściową zabrał do Hrubieszowa. Tam jeszcze przez rok czasu były. Później poszła za cofającymi się Niemcami do Lublina, bo słyszała, że tu jest jej siostra cioteczna. Odnalazła ją i zamieszkała. Jak wróciłem z obozu to ją tam zastałem. Zacząłem pracować na poczcie i starać się o jakieś mieszkanie. Właściwie to żona znalazła takie miejsce, dwa pokoiki i kuchenkę na ul. Hanki Sawickiej. Tam mieszkaliśmy do czasu, aż dostaliśmy to mieszkanie przy ul. Czwartek.

Sprachek Perzary